



RAPORT

ISSN - 1642 - 8773

MEDICUS MUNDI POLAND - organizacja zrzeszona w Medicus Mundi International

30 listopada 2012 roku

Nikt z nas nie żyje tylko dla siebie...

Nr 4/2012 (58)

Drodzy Przyjaciele Misji!

Oddaję w Państwa ręce wydanie specjalne naszego Biuletynu Informacyjnego *Raport* oraz zachęcam do zapoznania się z relacją naszej wolontariuszki, studentki medycyny Kingi Zastawnej, która przez okres trzech miesięcy pracowała w Puri, kolonii dla trędowatych stworzonej przez o. Mariana Żelazka. Wyjazd ten był odpowiedzią na zaproszenie o. Josepha Philipsa, który obecnie jest odpowiedzialny za misje w Puri, a także chęcią

kontynuowania wieloletniej współpracy z kolonią, która rozpoczęła się u zarania Fundacji i ściśle związana była z osobą o. Mariana Żelazka – wielkiego Przyjaciela Fundacji i wzoru dla wielu naszych wolontariuszy. Całe to przedsięwzięcie nie byłoby możliwe, gdyby nie dotacja jaką Fundacja uzyskała w ramach programu Polska Pomoc WOLONTARIAT 2012 przyznawana przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP r.

Serdecznie zapraszam do zapoznania się z jej relacją!

Anna Kurkowiak
Koordynator projektu ■

Namaste – sprawozdanie

- Namaste!!! Szeroki uśmiech Ojca Josepha przywitał mnie na peronie w Puri.

- Namaste! – odpowiadałam tak, jak witają się Hindusi i od razu poczułam się pewnie. Dotarłam do celu! Uśmiechnęłam się do siebie, mając za sobą 30 godzin jazdy pociągiem. W Polsce podróż nie do wyobrażenia, w Indiach codzienność! Kraj wielki i piękny! Z nosem przy szybie w pociągowym przedziale mogłam podziwiać zielone soczyste pola ryżowe, plantacje palm kokosowych, kobiety kolorowe jak motyle, bose, radosne dzieci, mężczyzn przy pracy w polu. Wszystkiego chciałoby się dotknąć, jednak do tej pory dzieliła mnie od tego szyba pędzącego pociągu. A teraz jestem tutaj, przechodzę między ludźmi na dworcu kolejowym w Puri, wsiadam do samochodu i za parę chwil jestem już na terenie Misji.

Po posiłku, jeszcze tego samego dnia Ojciec Joseph zabrał mnie do domu i miejsca pracy Ojca Mariana Żelazka. To właśnie ten polski Misjonarz werbista przez ponad 30 lat służył trędowatym w Puri. Był ich ukochanym Ojcem, wspaniałym Bratem i najlepszym Przyjacielem. Codziennie odwiedzając ich domy, opatrując rany, wspierając w niedoli, sprawił, ➤



fol. Archiwum Fundacji

Wolontariuszka z małą pacjentką



fot. Archiwum Fundacji

Wolontariuszka z pacjentem

że kochali go wszyscy! Podniósł na nogi tych, którzy żebrząc w okolicy świątyni Jaganath czekali na śmierć. Wyrzuceni z własnych domów, pozbawieni środków do życia, bez nadziei na lepsze jutro zostali pokochani przez „swojego Ojca”.

Po wizycie w domu poszliśmy do kaplicy Ojca Mariana, gdzie każdy z nas mógł się pomodlić.

Razem z Ojcem Josephem ustaliliśmy moje obowiązki i rodzaj wykonywanej pracy, która zaczęła się następnego dnia rano. Codziennie około godziny 8.00 wyruszałam do przychodni by po drodze mijając uśmiechnięte dzieci wędrujące do Szkoły Beatrix, wybudowanej przez Ojca Żelazka. Kilka minut później przechodziłam przez kolonię trędowatych witając się z tymi, których już po kilku dniach mojego pobytu w Puri mogłam nazwać przyjaciółmi. Z szeregowo budowanych domów w kolorze brudnego różu wybiegały te dzieci, które są jeszcze za małe, by pójść do szkoły. Te bardziej śmiało prosiły, by robić im zdjęcia, mniej śmiało – podchodziły do mnie z tyłu i dotykały moich rąk, jakby sprawdzając czy takie białe są prawdziwe.

Już pierwszego dnia, gdy razem z Ojcem Josephem przechodziłam przez Kolonię pewien starszy mężczyzna zaprosił mnie do domu. Poprosił mnie bym usiadła, a potem pokazał mi swojego wnuka – 8-letniego chłopca z niedowładem kończyn dolnych. Chłopiec siedząc na pupie odpychał się rączkami, pokonując w ten sposób niemałe odległości. Choć całkiem uparty, po kilku dniach dał się namówić na spacer – i tak trzymając go pod pachami na zmianę z dziadkiem, wędrowaliśmy naokoło małej hinduskiej świątyni położonej wewnątrz kolonii. Kroki chłopca wydawały się być coraz silniejsze i pewniejsze. We mnie szybko zapaliła się nadzieja – „Chłopiec będzie wkrótce samodzielnie chodził!” – chciałam oznajmić wszystkim tym, którzy z niemalą ciekawością przyglądali się nam przy naszych wspólnych spacerach. Niestety, po chwili radości przyszła pierwsza lekcja pokory. Chłopiec osłabł, spacer nie był już atrakcją, lecz przykrym obowiązkiem i później ciężko było mi go namówić nawet do zabawy. Tak naprawdę nie wiem, co było przyczyną takiego stanu dziecka. Wiem, że chłopiec nigdy nie chodził. Był też upośledzony umysłowo.

Jednym z naszych obserwatorów był 5 letni Prakash – chłopiec o rzęsach tak czarnych i długich o jakich marzy każda polska dziewczyna. Uwielbiał bawić się w wodzie! Wielokrotnie widziałam go, gdy przy ujęciu wody skakał w kałuży, tak, żeby woda rozpryskiwała się jak najdalej! Czasem nalewał wodę do wielkiej metalowej bali, wchodził do środka i kąpał się robiąc mnóstwo mydlanych bąbelków. Na początku bardzo

się wstydził, ale później chętnie spoglądał w obiektyw aparatu i nie pozwolił mi przejść bez przywitania.

Pewnego razu podczas mojej codziennej pracy w przychodni zauważyłam, że przygląda mi się dziewczyna. Spojrzałam na nią, a ona natychmiast przywołała mnie ręką. „Chodź! Proszę chodź!” Wyglądała tak, jakby miała mi do przekazania największą tajemnicę. Nie zastanawiając się dłużej podeszłam do niej. „Mój tata jest chory.” – powiedziała płynnie po angielsku. „Czy przyjdiesz do nas z Ojcem Josephem?” Od pracowników przychodni dowiedziałam się, że ojciec dziewczynki faktycznie jest chory. Poszliśmy więc z Ojcem Josephem do domu dziewczyny. Mężczyzna w wieku 60 lat leżał na ziemi, okryty grubym kocem. Nad nim kłęczął kilkunastoletni syn zmieniając okłady na czole, próbując zbić 40stopniową gorączkę. Dziewczyna spojrzała na mnie z nadzieją i łzami w oczach, choć oboje z Ojcem Josephem wiedzieliśmy, co wydarzy się w najbliższych godzinach. Tak się też stało. Mężczyzna zmarł tej samej nocy. Miał gruźlicę płuc, przechorował trąd i prawdopodobnie zmarł z powodu uogólnionego zakażenia. Prawdopodobnie, bo nie było możliwości, ani czasu na wykonanie badań. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Dziewczynka nie miała do mnie żalu. Dotknęła dłonią moich stóp i tą samą dłoń przyłożyła do swojego czoła i serca. To hinduski zwyczaj wyrażający szacunek.

Praca w przychodni polegała głównie na zmianie opatrunków. Rany na stopach osób chorych na trąd powstają przy codziennych czynnościach i nie goją się tak, jakbyśmy tego chcieli, nie jest więc zaskoczeniem to, że pacjenci znają swoje rany żyjąc z nimi 30, a czasem 40 lat. Tak wdzięcznych ludzi nie spotkałam jeszcze nigdzie. Spragnieni ciepłego dotyku dziękowali za każdy zmieniony bandaż. Tak jak córka zmarłego mężczyzny dotykali moich stóp, okazując szacunek.

Badanie małych pacjentów



fot. Archiwum Fundacji

- Cześć! – krzyknęłam. Maluch spojrział na mnie z zaciekawieniem, ale z zachowaniem dystansu. Uśmiechnął się do zdjęcia, a potem szybko schował rączki za siebie.

- Co tam masz? – zachęcałam chłopca, by pokazał co trzyma w rączkach.

Większość dzieci wyciągała ręce, chętnie witając się i pokazując zabawki.

- Pokaż, proszę...

W końcu Malec pokazał ręce.

- Świerzb. Z całą pewnością – powiedział starszy kolega, lekarz z Polski pracujący jako wolontariusz w Ośrodku Rehabilitacji Trędowatych Jeevodaya (w pobliżu miasta Rajpur, około 800 km od Puri), który przyjechał odwiedzić Misję Ojca Mariana.

W takiej sytuacji konieczne było dokładne zbadanie całej rodziny. Faktycznie, 4 siostry chłopca również chorowały. Jeszcze tego samego dnia wieczorem rozpoczęliśmy leczenie. Chłopiec, pokazując siostrze jak zachowuje się prawdziwy mężczyzna pierwszy pozwolił wetrzeć w siebie lek. Potem dziewczynki. Najstarsza, jako młoda panienka obiecała zastosować się do zaleceń sama, 6 - letnia Sabita i 3 letnia Priyanka pozwoliły bym zrobiła to ja, a najmłodsza...

Najmłodsza to 7 miesięczne niemowlę. Pratyasha. Wzięłam ją na ręce i kilka razy, niedowierzając pytałam ile ma miesięcy. 7? To niemożliwe! Dziecko prawie nie otwierało oczu, leżało na wznak, nóżki mając nietypowo jak na niemowlę wyprostowane i wiotkie. Dziewczynka nie płakała, gdy sprawdzałam czy ma już ząbki, nie płakała też, gdy bezskutecznie próbowałam ją posadzić, nie chwytala moich palców i nie zaciskała piąstek. Poprosiłam Ojca Josepha, aby wysłał ją do pediatry. Nic z tego. Matka zabrała dziecko, twierdząc, że pediatry nie potrzebuje i zaniósła Maleństwo do magika, twierdząc, że tylko on może im pomóc.

- Nic nie możesz zrobić – powiedział Rabi, para-medyk pracujący w przychodni od wielu lat, widząc mój żal.

- Ale nie martw się, ona przyjdzie, zobaczysz.

Tak też się stało. Kobieta przyniosła małą Pratyashę, Rabi zabrał ją i jej matkę do pediatry, a Ojciec Joseph zadbał, by wszystkie zalecenia lekarza były zastosowane. Zakupił leki i jedzenie dla dziewczynki i ku mojej wielkiej radości, Maleństwo miało się coraz lepiej. Ostatniego dnia przed moim wyjazdem z Puri poszłam pożegnać się z najmłodszą pacjentką. Spojrzała na mnie żywo pięknymi czarnymi oczami, zapłakała całkiem głośno i mimo, że wciąż nie potrafiła siedzieć, to była znacznie silniejsza i bardzo ruchliwa.

W przychodni znajduje się mikroskop, dzięki czemu mogłam oglądać preparaty i oceniać po kącie pasożytów układu pokarmowego. Pewnego dnia oglądając preparat usłyszałam jak dziewczynka w szkolnym mundurku woła mnie po imieniu. Wstałam, wyszłam z pokoju, w którym znajdował się mikroskop i zobaczyłam, że przed drzwiami stoi zatroskany ojciec dziewczynki. Jeden z para medyków szybko wytłumaczył o co chodzi. Sarojeeni, najlepsza uczennica w szkole usiadła na ławce w przychodni, podniosła nogawkę i pokazała mi ogromną ranę.

- Od kiedy masz taką ranę? – zapytałam.

- Od 3 tygodni... – odpowiedziała nieśmiało.

- Dlaczego nie przysłaś do mnie wcześniej?

Dziewczynka spuściła głowę. Prawdopodobnie, bojąc się, że może być to trąd, ukrywała ranę przed rodzicami. Trąd w Indiach jest wyrokiem. Osoby chore, często wraz z rodzinami muszą opuścić swoje miasta i społeczności, by zamieszkać na terenie kolonii. Sarojeeni nie pochodziła z rodziny trędowatych.



fol. Archiwum Fundacji

Wolontariuszka z małą pacjentką

Ale ze zdiagnozowanym trądem wraz z całą rodziną musiałyby przenieść się do Kolonii. Rana na nodze nie była jednak raną trądową. Po kilku tygodniach dziewczynka wróciła do zdrowia.

Dwa razy w tygodniu do przychodni przychodzi lekarz. Pacjenci z całej kolonii czekając na swoją wizytę siedzą na korytarzu. Chodząc między salą opatrunkową, szpitalną apteką i gabinetem lekarza poczułam, że ktoś złapał mnie za rękę.

- Masz dłonie jak lalczka! Proszę potrzyj mnie chwilę za rękę. – Powiedziała kobieta w wieku 60 lat. Na imię miała Yamuna. (Yamuna to nazwa rzeki w hinduizmie uważanej za świętą). Na jej twarzy wiele cech zdradzało, że chorowała na trąd. Chorowała w przeszłości, i choruje teraz. Po wielu latach od wyleczenia trąd znów zaatakował. Jest jedną z 12 osób, które aktualnie przyjmuje leki z powodu trądu. W Indiach trąd trwa do końca życia. Raz zarażony trędowatym pozostanie do końca swoich dni, mimo, iż przy pomocy antybiotyków choroba ta jest całkowicie wyleczalna! Kobieta jest słaba, doskonale wie, że nie zostało jej wiele dni. Pewnego dnia powiedziała mi, że czeka na dzień, gdy wpłynie do wielkiego oceanu zwanego Niebem i spotka tam Ojca. Nie musiała mówić o kogo chodzi. To przecież oczywiste. Każdy w kolonii tęskni za Ojcem Marianem. Każdy wspomina go ze łzami w oczach. To On pokochał ich, jak kocha się własne dzieci. Pokochał trędowatych.

„Trędowaci są naszymi przyjaciółmi” – głosi tablica powieszona na drzewie w Ogrodzie Nadziei. To słowa Ojca Żelazka. W minione wakacje mogłam doświadczyć przyjaźni, o której mówił Ojciec. W minione wakacje byłam w miejscu, gdzie pracował ten Wielki Polak. W minione wakacje uczestniczyłam w najlepszej lekcji medycyny i pokory jednocześnie. Dziękuję wszystkim tym, dzięki którym mój wyjazd do Indii mógł zostać zrealizowany.

Jak można pomóc?

Po trzech miesiącach pracy wśród trędowatych, wiem, że są to ludzie, którym bardzo ciężko pomóc. Żyją w społeczności prawie całkowicie izolowanej od reszty społeczeństwa. Nie mają szans na wyrwanie się z marazmu, który towarzyszy im od najmłodszych lat. Nie mogą zawierać związków małżeńskich z osobami spoza kolonii, nawet jeśli nie są chorzy. Wystarczy, że babka chorowała na trąd - wnuczka nosi na sobie to znamię. Jeśli pochodzi z kolonii, może wyjść za mąż tylko za chłopca ze swojej kolonii, lub co jest zdecydowanie lepsze, ale jakże traumatyczne dla młodej dziewczyny, za chłopca z innej kolonii, często oddalonej od jej rodzinnego domu o kilkaset kilometrów. Co się z tym wiąże, dzień ślubu to czasem dzień, w którym dziewczyna po raz ostatni w życiu widzi swoich rodziców i rodzeństwo. Osoby z rodzin trędowatych, nawet jeśli pracują poza kolonią nigdy nie zajmą na tyle dobrze płatnych stanowisk, by stać je było na podróżowanie po kraju.

Coraz lepiej wygląda jednak edukacja. Przy pomocy lokalnych misjonarzy i pozyskiwania środków od zagranicznych sponsorów możliwe jest kształcenie uzdolnionych dzieci w szkołach znajdujących się w innych miastach, gdzie dzieci nie przynajmą się do swojego znamiona, którym jest trąd występujący w ich rodzinach. Pochodzenie z kolonii dla trędowatych nie jest powodem do dumy.

Szkoły średnie i wyższe, niezależnie, czy mają status państwowy, czy prywatny - są płatne. Pomimo faktu, że są otwarte na młodzież nawet z rodzin trędowatych, to niestety rodzin tych nie stać na to, żeby wykształcić chociaż jedno dziecko. Dlatego też potrzeba potężnych środków do tego, by kształcić lokalną młodzież. Ta z kolei w przyszłości mogłaby opuścić środowisko w którym przyszło im żyć. Chodzi przecież o to, by trąd

W drodze do szkoły



fot. Archiwum Fundacji

Projekt był współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w 2012 r.

Publikacja wyraża wyłącznie poglądy autora i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.



fot. Archiwum Fundacji

Namaste

eradykować i zmniejszać kolonie. Niektórzy z wykształconych w odpowiednich dziedzinach mogliby wspomóc społeczeństwo, w którym się wychowali, np. poprzez stwarzanie nowych miejsc pracy, poprzez ulepszenia organizacji. W Indiach mimo ogromu ludzi, można zauważyć bardzo silne więzi rodzinne. Te dzieci, którym udało się wyjechać z Puri do innego miasta do szkoły, wracają w każdej wolnej chwili do domu, a matki i ojcowie wyczekują ich przed domami.

Moim zdaniem bezwzględnie najważniejsze jest kształcenie osób młodych - oni są przyszłością tamtych społeczeństw. Nie chodzi o to, by te społeczeństwa się rozwijały i powiększały. Trąd jako choroba w 100% uleczalna powinna być wyeradykowana, a kolonie w odległej przyszłości powinny być coraz mniejsze, aż do całkowitego zlikwidowania. Jednakże kulturowe uwarunkowania w Indiach są bardzo trudne - trąd to choroba grzeszników i biedaków - taki jest powszechny pogląd. Nie sądzę, aby to dało się zmienić. Trąd w obliczu obecnego stanu wiedzy medycznej powinien zniknąć wraz z tabu z nim związanym, ale aby to nastąpiło potrzebna jest edukacja młodych mieszkańców kolonii.

FUNDACJA POMOCY HUMANITARNEJ REDEMPTORIS MISSIO

Centrum Wolontariatu Fundacji:
ul. Grunwaldzka 86; 60 -311 Poznań
tel./fax (61) 8 621 321

Czynne od poniedziałku do piątku
od godz. 8.30 do 15.30.

Biuro Fundacji:
ul. Dąbrowskiego 79, pok. 809; 60-529 Poznań
e-mail: medicus@ump.edu.pl

www.medicus.ump.edu.pl

Konto bankowe:
Bank Zachodni WBK S.A. IX O/Poznań
nr r-ku: 09 1090 2255 0000 0005 8000 0192

RAPORT - Biuletyn Informacyjny Sympatyków i Wolontariuszy Fundacji Pomocy Humanitarnej „Redemptoris Missio”

Redaktor: Justyna Janiec-Palczewska, współpraca: Mateusz Cofta, Marie Cofta,

Sylwia Kubala, Monika Pacholak, Anna Tarajkowska, Paweł Fiszer.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów. Pismo rozprowadzane bezpłatnie.

PRZECZYTAŁEŚ - PRZEKAŻ INNYM! PRZECZYTAŁEŚ - PRZEKAŻ INNYM! PRZECZYTAŁEŚ - PRZEKAŻ INNYM!